Przyjaciel Ludu.

ROK DZIESIĄTY. **No. 24.** **Leszno,** *dnia* 9. *Grudnia* **1843.**



Pierwotny pomnik Leszka Czarnego w kościele OO. Dominikanów w Krakowie.

Groby i pomniki.

(Dalszy ciąg.)

PIASTOWIE.

Leszek Czarny, książę polski, z linii kujawskiéj.

Panował lat 16, umarł bezpotomnie w r. 1289.

Nagrobek Leszka Czarnego znajduje się w kościele OO. Dominikanów, po lewéj stronie wielkiego ołtarza, wzniesiony kosztem tegoż zgromadzenia, jak poświadcza napis: *Divo Lesconi Nigro etc.*, w roku 1690. Lecz dzisiaj oprócz nagrobku, sklep grobowy zupełnie jest pusty. Nie podobna jednak przypuścić, ażeby zwłoki Leszka mogły zaginąć, będąc pod strażą zakonników, których był szczególnym dobroczyńcą i opiekunem, jak tego dowodzą nie tylko pomnik jego grobowy wystawiony przez zakon, z napisem wyrażającym wdzięczność i żal po śmierci tegoż monarchy, ale nawet archiwa klasztorne.

Prawdopodobną jest rzeczą, że gdyby gorliwy badacz zechciał przerzucić stosy papierów klasztornego archiwum, i zwiedzić mnóstwo piwnic krzyżujących się pod rozległym gmachem, może że starania jego uwieńczone by były nader szacownym wynalazkiem popiołów Leszka Czarnego. Sprawiedliwie albowiem domyślać się można, że podczas rozruchów wojennych, w których kościoł i klasztor dominikański nieraz ogniem spłonął, wdzięczni zakonnicy dla swego opiekuna ukryli jego ciało w tajemną i nieuczęszczaną nigdy piwnicę, gdzie zapomniany dotąd jeszcze znajdować się może.

Obecny pomnik drewniany, pomimo znacznego i niesmacznego obciążenia ozdobami i otaczającemi go obrazami, (*) mieści w sobie myśl dosyć piękną i szczęśliwą. Zbrojny monarcha spoczywa na bogatéj trumnie, trzymając w ręku oznakę królewską, jak gdyby zasnął po licznych klęskach i liczniejszych jeszcze troskach swego panowania; w nogach na tarczy orzeł biały pilnuje jego ciała i pamięci, a obraz N. P. Maryi zdaje się umilać mu sen wieczny. Po bokach zawieszone zbroje i oręże przypominają nam jego walki i straszliwe napady Tatarów, które pustoszyły Polskę w czasie panowania jego.

Przed dwoma laty odsunięto pomnik drewniany dzisiejszy, i odkryto za nim frambugę w ścianie z kamieniem w głąb ukośnie wmurowanym, na którym wyryta jest pojedynczemi rysami postać męża w zbroi, i mitrą książęcą na głowie, w prawéj ręce tarczę z orłem herbowym, w lewéj chorągiew trzymającego; na zbroi w kilku punktach widać przełamane żelazne gwoździe, któremi przytwierdzona była zbroja metalowa (srebrna, jak utrzymują zakonnicy tego klasztoru) stopiona w czasie pożaru 1688 r. Napis w około bardzo jest uszkodzony; z pozostałych liter da się jednak wyczytać wyraźnie: *A. D. 1289. d. 26.... Obiit..... Lescus d. Niger.* Być może, że pod tym kamieniem złożone są zwłoki jego.

Ten nagrobek, który policzyć należy do najstarożytniejszych pomników, jakie kościoły krakowskie posiadają, zakryty jest zupełnie pomnikiem teraźniejszym. — Mocno jednak żałować należy, że ów pomnik równie jak wiele innych starożytnych zabytków niszczeje przez czas i wilgoć: prawie za dotknięciem palca kruszą się gotyckie litery i główne zarysy wydłutowanéj postaci. Małym bardzo kosztem, bo przeciągając kiedy niekiedy pokostem, możnaby ochronić tę szanowną pamiątkę od zupełnego zniszczenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(*) W rysunku teraźniejszego pomnika opuściłem ozdoby w górze będące, gdyż są to same obrazy owalne przeorów lub uczonych zakonników tego konwentu, otoczone mnóstwem akcessoriów bez żadnego gustu i nie mających najmniejszego związku z grobowcem Leszka; służą one więcéj do ozdoby kościoła, niż samego pomnika. Obraz N. P. Maryi odmalowany wgłębi nad figurą, jakkolwiek piękny i rzewny przedstawia nam pomysł, jednakże w rysunku nie sprawiłby żądanego effektu.

Wyjątek z dzieła drukiem dotąd nieogłoszonego: *Miasta, góry i doliny i t. d.*

(Dalszy ciąg.)

Następny nocleg, przypadł mi w Czorsztynie.

Zachwycające, cudne to jest miejsce ten Czorsztyn! Tam to już początek tych szczytnych karpackich widoków, nigdy dość nie podziwianych, nigdy nie głoszonych dosyć, za które to milczenie, szczery mam do mych ziomków żal. Bo prócz Galicyi malowniczéj i innych tego rodzaju pisemek, gdzie się raczéj dowiedzieć można, ile która skała ma stóp wzniosłości, ile które jezioro ma głębi, niż, jakie one na innych sprawiają wrażenie, jakie rodzą uczucie, nie zdarzyło mi się napotkać żadnéj prawdziwie artystowskiéj podróży w Karpaty, a one tak pełne poezyi! (1)

Dojeżdżając, już pod samym Czorsztynem, jeszcze się niczego domyślać nie można, gdy się zatrzymuje pojazd dla zachamowania koła, i zaraz się wjeżdża w wąwoz, głęboki, wązki, spadzisty. Dwie jego wysokie ściany, zupełnie na chwilę przecinają widok, lecz, gdy się roztworzą, najmilsze, bo niespodziane czeka zadziwienie.

Najprzód i nim się go ujrzy, już słychać szelest bystrego Dunajca, wkrótce się spostrzega ta szumiąca rzeka, to kapryśne, to wdzięczne, często straszliwe Karpat dziecię, z którém się późniéj dokładnie poznamy, a droga wijąc się między skalistemi góry, a brzegiem Dunajca, odkrywa krajobraz obszerny, wspaniały, zachwycający.

(1) To było pisane przed Listami z Krakowa, gdzie jest parę kartek ładnego o Tatrach wspomnienia.

Na lewo, wznosi się sroma, skalista góra. U stóp kilka wiejskich zabudowań, na wierzchołku reszty feudalnego pałacu, wspaniała jeszcze ruina. Jest to szkielet Czorsztyna.

Na prawo, za rzeką, zielone niwy, zakończone długiém pasmem gór; od frontu na znacznéj okrzewionéj wzniosłości, starożytny zamek, z wieżyczkami, z długiemi już nieoszklonemi oknami, które musiały niegdyś mieć gotyckie kształty. Z tegoż, jak się zdaje pokolenia co i Czorsztyn, dość nadrujnowany dla artysty, a nie dość, by zupełnym groził upadkiem, zdaje się tam dla malarza postawiony. Te góry, są Tatry. Te niwy, ten zamek, są już w Węgrzech. Zamek się zowie Nedu, po naszemu Niedźwiedź.

Na wszystkie strony, pełno ogromnych brył skalistych, w rozmaitych, a dziwnych kształtach; gdzie niegdzie krzewiny i drzewa; na dole nad brzegiem Dunajca, który tam swe dwa ramiona w jedno zlewa koryto, murowana karczma; daléj, droga w swych krętych zwojach, znów się na górę wspina, na górę ogromną; z niéj cały ten uroczy krajobraz, jednym rzutem oka ogarnąć się daje, pod nogami się ściele.

Byłam w zachwyceniu! Cała uczuciowa moja istota we wzrok się przelała. Całe uczucie w podziw! za nic na świecie nie byłabym tego wieczora daléj pojechała.

Wzięłam ołówek dla skreślenia na pamiątkę tego pysznego obrazu, lecz, im więcéj się weń wpatrywać zaczęłam, tym się więcéj wpatrywałam..... patrzałam..... patrzałam, i jeszcze patrzałam, i tylko patrzałam.

Wzięłam pióro... by przelać, by zachować pamięć mych wrażeń! lecz i to pióro z podziwienia nieme zostało. Słów mu brakło.

Tak się przekonawszy, iż jedynie patrzeć zdolną byłam, chciałam przynajmniéj téj rozkoszy doskonale użyć.

Poszłam najprzód drogą na górę, na ową górę, o któréj mówiłam, a tam jeszcze raz rysować spróbowałam, i jeszcze raz nadaremnie. Powzięłam tylko przekonanie, iż nie tylko ja z ołówkiem od pularesu, lecz pierwszy malarz z olejnemi farby, nie byłby w stanie oddania tego widoku, téj natury, ozłoconéj wówczas ostatniemi promieniami czerwonego słońca. Jakoteż nędzne litografie, jakie odtąd napotkać mi się zdarzyło, najodleglejszego wyobrażenia o pięknościach Czorsztynu dać nie mogą.

Później, za pomocą lokaja, wwindowałam się po opoce, częścią nagiéj, częścią ślizkim mchem pokrytéj, aż do ruin pałacu. Tam już, ani rysować, ani pisać nie próbując, chciałam jedynie wspomnień jego trochę pobadać, w przeszłości jego się zanurzyć, odgadywać, co tam się działo, przeznaczeniem zastąpić milczącą historyą.

Lecz i te usiłowania nadaremne były. Ruina była w całéj słowa tego rozciągłości. Komnaty bez sufitów, bez ścian, piwnice bez sklepień, wszystkie piętra w jednéj połączone nieforemnéj przestrzeni zarastały pokrzywą i cierniem. Niektóre tylko sterczące jeszcze pałacu ściany z otworami, jedne nad drugiemi, dozwalały zgadywać, że ich kilka być niegdyś musiało.

Rzekłby każdy, iż tam spoczywają wieki, że stary czas od stu lat swą skościałą rękę tam spuścił. Czekałam, czy z któréj z czarnych pieczar, których rozwarte paszcze tu i owdzie z pod gruzów i chwastu wyglądały, nie wystąpi jaki duch miejscowy, co mi przeszłość opowie, lub jaki jeniusz skał i ruin, co rajskim głosem opieje tę naturę, te ruiny, te skały... Lecz niczego się nie doczekałam... Słońce tylko groziło ostatnie z sobą zabrać promienie, a wspaniały Nedu, na purpurowém tle nieba ciemną swą kreśląc sylwetkę, zdawał się pysznić swą czerstwością, zdawał się naigrawać z zgrzybiałości swéj rówienniczki. (2)

Już odchodząc, jeszcze raz wszystko razem w jedném spojrzeniu ogarnąć chciałam, kiedy nowy jakiś przedmiot uwagę mą zwrócił. Było to na kilku bryłach coś czworonożnego, ale oczywiście nie były to zwierzęta. Było to nieruchome, ale nie posągi. Było to drewniane, ale do żadnego nie podobne budynku. To coś, bynajmniéj nie dodawało do malowniczości miejsca, i gniewało mię, jako niepotrzebny jakiś dodatek, lecz mniemałam, że potrzebą wywołane, a potrzeba wiele niedorzeczności uniewinnia.

Nieraz później dało mi się w Karpatach napotkać, jeśli nie piękniejszy, to bardziéj zadziwiający, szczególniejszy swą wielkością widok, niż w Czorsztynie, lecz może żaden tak silnego nie sprawił na mnie wrażenia. Niespodzianość zapewne dużo się przyczyniła do tego.

Z młodych mych wspomnień, pozostała mi bowiem w pamięci, jakaś komedya, czy operetka, zwana Zamek na Czorsztynie. Dziś już dla chwały autora zapomniana, była wówczas przedmiotem nieustannych żartów i śmiechów. Odtąd, nigdy o Czorsztynie nie słysząc, to pierwsze przywiązane do nazwy pozostało mi wrażenie, zdało mi się, iż, co tylko się tycze Czorsztyna, jedynie pośmiewiska godne; tak dalece, że, gdy na ostatnim noclegu, zapytałam gospodarza o wygodną o mil kilka karczmę, a on mi nazwał Czorsztyn, zapytałam powtórnie, czy tam jest zamek, i szczerze się rozśmiałam, że i ja będę w zamku na Czorsztynie.

(2) Zamek czorsztyński, ma należeć do pogańskich jeszcze czasów, a nazwa jego, ma znaczyć Czarny tyn, czyli Czarny zamek. Sławny Zawisza, którego był własnością, od niego Czarnym przezwany, swéj familii tenże przydomek zostawił. Kazimierz Wielki go obwarował, i na starostwo przemienił. Ostatnim starostą czorsztyńskim był za panowania Stanisława Augusta, Józef hr. Potocki.

Lecz, o ile miejsce przeszło, o tyle karczma nie odpowiedziała oczekiwaniu. Lubo murowana i dość na pozór obszerna, nie miała dla gości, jak szynkową izbę, wspólną z Żydem szynkarzem i rodziną jego. Parę na przeciw dość schludnych pokoików, zajmowała jakaś pani sędzina, którą teraźniejszy Czorsztyna dziedzic, wraz z trojgiem dziećmi tam ulokował.

Pani sędzina, widząc moje smutne położenie i cierpienia biednéj méj choréj, potrzebującéj wygody, ofiarowała mi jeden z dwojga swych pokojów, za co jéj szczerze obowiązaną byłam.

Pani sędzina, o ile czułą i usłużną, o tyle i rozmowną się okazała. Obszernie wyrzekała na miejsce, na wilgoć, najbardziéj skarżyła się na Dunajec, który co wiosnę i jesień, nie dawał jéj chwili spokojnéj, a często i wśród lata niesłychane wyrabiał figle. W żwawych wyrazach, pełnych jeszcze wrażenia, opowiadała mi okropną powódz roku.... Pokazywała na ścianie odznaczone miejsca, o dwa, lub trzy łokcie nad ziemią, dokąd wówczas woda dochodziła, całe zalawszy wnętrze karczmy. Mówiła, jak wszyscy musieli pod dach się schronić, oczekując tylko, kiedy z całą budowlą popłyną; coby niezawodnie nastąpiło, gdyby karczma była drewnianą.

Na nieszczęście te wszystkie opowiadania, których teraz mocno żałuję, były dla mnie przez połowę stracone. Mam bowiem naganny zwyczaj, w przekonaniu, iż w mowie dwie trzecie bywa dodatków, nie dokładać żadnéj uwagi temu, co słyszę, własnym oddając się przez ten czas myślom i uwagom; a lubo wiem, ile mi to w towarzystwie szkodzi, jeszczem się niepotrafiła z téj wady poprawić, tém bardziéj, że się coraz więcéj przekonywam, jak rzadko się traci na niesłyszeniu, jak nawet często bywa lepiéj nie słyszeć.

Z licznych wypadków, opowiadanych mi z czasu owéj sławnéj powodzi, jeden mi tylko w pamięć się wraził.

Był tam jakiś szewc, imieniem Jan. Miał on troje dzieci, lecz jedno nad inne kochał. Troje te dzieci, zwykle bawiły się na łące, niebardzo daleko rzeki, koło murowanego słupa, gdzie był wizerunek Ś. Jana Chrzciciela. Gdy Dunajec w roku 1813., raptownie począł wzbierać i już część łąki zalał, a dzieci nie wróciły, ojciec się troszczyć zaczął; raz i drugi poszedł ku łące, dojść już do niéj niepodobna było; wołał, lecz rozhukane i wzdymające się fale, głos jego głuszyły.

Minął tak dzień cały i drugiego połowa. Rzeka coraz szła wyżéj, a w straszliwym swym pędzie unosząc drzewa, domy, bydło, ludzi, jakby na urąganie rozpaczy nadbrzeżnych mieszkańców, nieforemne swych zdobyczy szczątki na brzeg wyrzucała.

Nieszczęśliwy ojciec, wszelką był już stracił nadzieję. Chodził, jak waryat po brzegach, między temi szczątkami szukając już jedynie śladów swych dzieci; jeszcze raz zwrócił łzawe oczy na zalaną łąkę i zadziwił się, jak ów słup uporczywie się opiera gwałtownéj siłę wody, zdziwił się i ucieszył, że jego kopułka nad nią jeszcze się bieli, ukląkł i modlił się do patrona swego.

Lecz, gdy się tak modli, pierś jego raptownie radośny głos wydała, przeżegnał się, oczy przetarł i jeszcze patrzy... Porwał się i co tchu po łódź poleciał.

Pod tą kopułką, obok drewnianego wizerunku, postrzegł, iż się coś rusza.... Były to jego dzieci tam przed wodą schronione!....

Woda jeszcze ze ćwierć łokcia, do wierzchołka słupa miała, ojciec około godziny liczył przed sobą, a mimo trudności znalezienia w małéj łódce przeciw rozhukanym bałwanom, ani chwili nie wątpił, że na czas przybędzie, że dzieci wybawi, odzyszcze....

Pełen nadziei w sercu, siły i odwagi, puścił się na fale. Lecz te, mimo olbrzymich wysilań Jana, nie dając sobie nawet pracy passowania się z nim, jakby z lekkim igrały wiórkiem i wedle kaprysu, łodzią na wszystkie rzucały strony.

Nieszczęśliwy ojciec, co chwilę zwracał ku słupowi oczy. Raz bliżéj, raz daléj go od siebie spostrzegł; widział swe dzieci zziębnięte, zgłodniałe, już prawie bez życia tulące się jedno do drugiego, widział ich nogi w wodzie, widział wodę coraz wyżéj się wzdymającą.

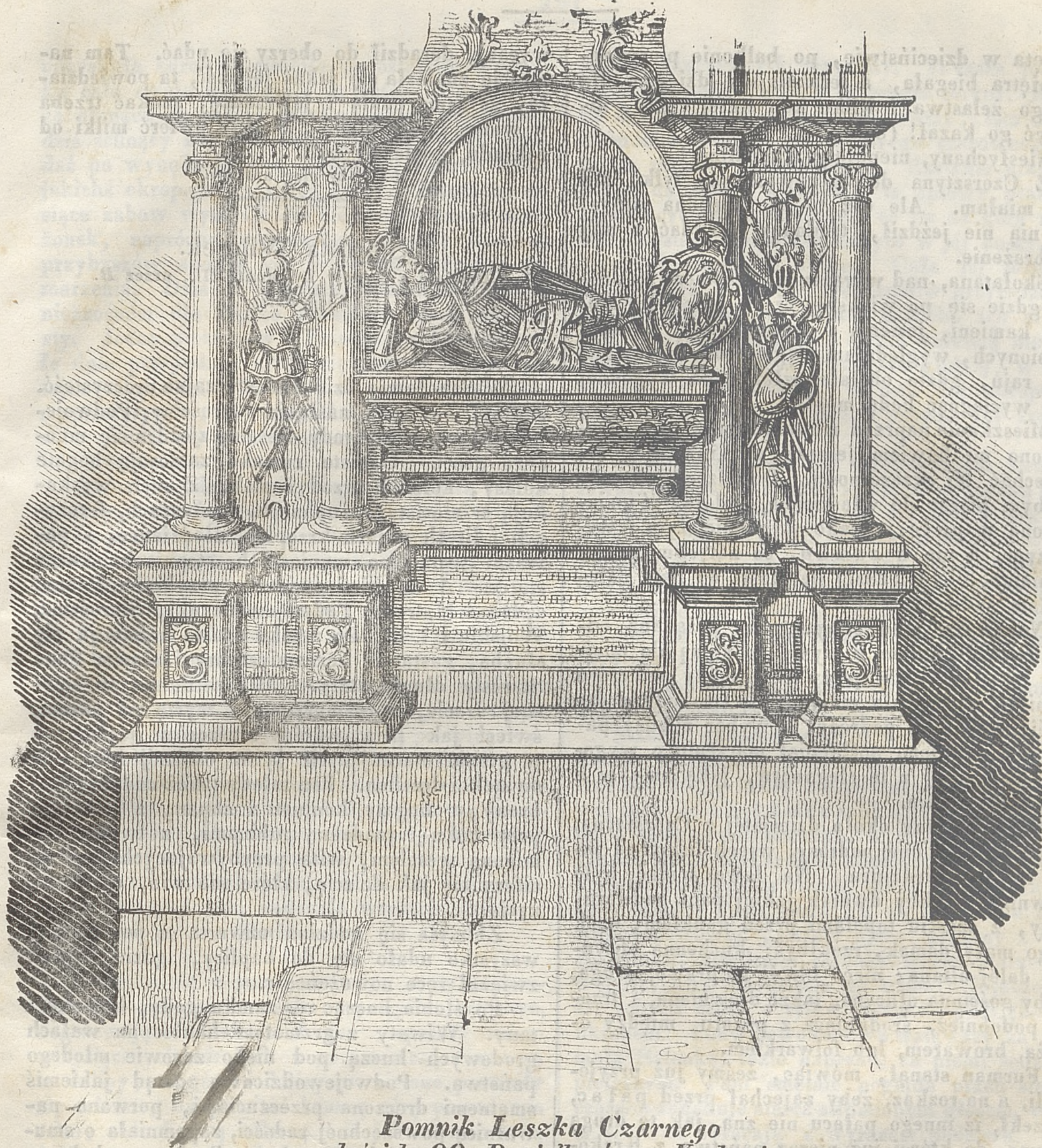
Rozpacz podwaja siły. W parę minut już przybijał, gdy bałwany, jakby się mszcząc za tę jego wytrwałość i zwycięztwo, z takim impetem łódź o słup cisnęły, iż ten aż zadrżał, a łódź odskoczyła.

Ale dzieci poznały ojca, dwoje starszych ręce ku niemu wyciąga, trzeci mały Antoś faworyt, usiłuje także dać radości znaki, lecz drżący, i tak osłabiony, że się na nóżkach chwieje, rączkami musi trzymać się w środku zatwierdzonéj figury.

Ojciec mu zakazuje zbliżać się do brzegu, a w téj jego radości nowe siły czerpiąc, po chwili jeszcze okrutniejszéj z bałwanami walki, znów przybija, znów gwałtownie się trąca: lecz tą razą przygotowany, natychmiast obu rękami za słup chwyta, wołając na dzieci, żeby do czołna co prędzéj wskoczyły.

Dwóch starszych już są przy ojcu, ostatni tylko próbuje i lęka się opuścić podporę. Woda do kolan mu dochodzi, a z takim pędem bieży, iż porwaniem go grozi.

Ojciec go do odwagi zachęca; chciałby mu podać rękę, lecz nie śmie puścić słupa, by fale nie uniosły czołna. Sam nie wie, jak postąpić, szuka jakiego sposobu, gdy czuje, że cały słup chwiać się w jego objęciu poczyna... Mniema zrazu, że to mu się tak zdaje, że



Pomnik Leszka Czarnego
w kościele OO. Dominikanów w Krakowie.

z wielkiego passowania się, zawrotu głowy dostał....

Lecz nie — prawda to była. Straszliwy Dunajec, słup wraz z najukochańszém dzieckiem, w jego oczach, z jego objęcia porwał.....

To bolesne opowiadając zdarzenie, pani sędzina wyprowadziła mię na łąkę i pokazała miejsce i ślad pamiętnego słupa. Następnie objaśniła, co znaczą owe potwory na wierzchołku skał, których natury, ani przeznaczenia odgadnąć nie mogłam.

Straszydła te z drzewa niekształtnie zrobione, miały naśladować niedźwiedzi, niby srożących się na sąsiedni zamek tegoż nazwiska. Miała to być oznaka nienawiści właściciela Czorsztyna dla sąsiada, który prawie nigdy nie mieszkając w Nedun, zapewnie o niéj ani się domyślał.

Każdy przyzna, iż niedziw, żem tego nieodgadła.

Już dość źle uprzedzona o tym panu, którego niedźwiedzi koncept bynajmniéj mnie nie ujął, cóż się stało ze mną, gdym się dowiedziała, że ruina Czorsztyna jego była dziełem! Że ten pałac, bardzo jeszcze niedawno stał cały i silny; że taż sama pani sędzina pokoje jego

pamięta w dziecińtswie, po balkonie pierwszego piętra biegała, a teraźniejszy dziedzic dla starego żelastwa i kilku kop staréj cegły, niszczyć go kazał! (3)

Niesłychany, niepojęty wandalizm!

Z Czorsztyna do Szczawnic już tylko mil trzy miałam. Ale cóż to za niegodna droga! kto nią nie jeździł, trudnoby mu dać o niéj wyobrażenie.

Skołatana, nad wyrażenie utrząśniona tą drogą, gdzie się po większéj części jedzie po stósach kamieni, jesienią i wiosną wodą ze skał zniesionych, wyglądałam ciągle tych Szczawnic, tego raju, gdzie obolałe członki na wygodnéj sofie wyciągnąć będę mogła.

Mieszkanie naprzód miałam zamówione. Doradzono mi bowiem jeszcze w Krakowie, nie zaniechać téj przezorności. Doradzono mi także, bym pisząc do właściciela, żądała być umieszczoną w pałacu, jako wygodniejszym i weselszym, a nie w zamku, co natychmiast dopełniając, dla większéj pewności do listu dołączyłam zadatek.

Na to wszystko otrzymawszy pożądaną odpowiedź, jechałam z myślą spokojną do miejsca, zkąd wszelkie pierwsze kłopoty zawczasu usunięte, zostawiały mi nadzieję swobody nader miłéj po niemiłéj podróży; a wybór między pałacem i zamkiem, pochlebiał marzeniu o wygodzie połączonéj z tą elegancyą, jaką zwykle u wód widywałam.

Wyjechawszy około dziesiątéj z Czorsztyna, po pięcio-godzinnéj podróży, wjechaliśmy na jakiś rodzaj dziedzińca. Na lewo widać było drewniany, jakby dworek jakiéj pani podstarościny, z sześciu topolami przed gankiem, obok niego mały domek, rzekłbyś: kuchenna oficynka; daléj altana; nieco bliżéj na prawo, długa, jakby gościnna officyna, także drewniana, i trzecia podobnież, środkująca z pozoru między oberżą, browarem, lub folwarkiem.

Furman stanął, mówiąc, żeśmy już przyjechali, a na rozkaz, żeby zajechał przed pałac, odrzekł, iż innego pałacu nie zna, jak tę drugą oficynę, do któréj już nieraz państwa z Krakowa przywoził.

— „On sam nie wie, co gada,“ rzekłam do człowieka mego, „tu zapewne jest mieszkanie samych właścicieli. Pobież do tego dworku, co na lewo widać, musi tam być jakiś zarządca, albo do samego dojdź pana, rozmów się i proś, żeby mi wskazano zamówione dla mnie mieszkanie w pałacu.“

Michał wrócił nie prędko i zadyszany, mówiąc, że do wszystkich drzwi kołatał, tak we dworku, jak i w małéj i dużéj oficynie, że wszędzie wszystko, nawet okiennice pozamykane, jakby wszyscy wymarli.

Furman słysząc mego podziwienia i smutku wyrazy, doradził do oberzy się udać. Tam nareszcie znalazła się jakaś jéjmość, ta powiedziała, że samę panią i jéj rządcę, szukać trzeba w wiosce szczawnickiéj, o małe ćwierć milki od zakładu, gdzieśmy byli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(3) Toż samo mi późniéj mówił hr. Antoni Potocki.

Starosta Wilczek.

Powieść z czasów Zygmunta III., przez *B.*

(Ciąg dalszy.)

4.

W Sokołowie dziś nadzwyczajna uroczystość. Zbliżył się dzień zaślubin Staróściny, Podwojewodzicowéj. Na gody weselne zjeżdża się mnóstwo gości. Ogniste rumaki zataczają bogate kolasy, kolebki przed zamek. Z nich wyskakują w złocistych żupanach, kontuszach, ferezyach i litych pasach krzepkie młodzieńce, i poważni wolno po wyniosłych stopniach skaczą starce. A za nimi świetnie przybrane Panny, sędziwe Matrony, Podwojewodzanki, Staróścine, Wojskie i t. d. Po zamku szasta i zawija się służba, zastawia licznemi srebry i złotem Pana Starosty długie stoły. Młoda Panna w śnieżnej szacie, z rozmarynem i myrtą na skroni, świeci jak lilia wśród bluszczów jesiennych w gronie otaczających ją w osobnéj komnacie swatek i druchen. Pan młody takoż cudnie przybrany w bogaty kontusz i żupan, z karabelą przy boku wysadzaną rubinami, z twarzą rumianną weselem, wita przybywających Panów, cieszy się jak dziecię, które nie wié, co troska życia.

Zbliżyła się godzina czwarta z południa, i wszystko udało się do kaplicy, gdzie kapłan związał ręce nowożeńców.

Po ślubie huczne w zamku gody, hulanka i tany. Wiwaty z grzmotem haubic na wałach grodowych huczą pod niebo zdrowie młodego państwa. Podwojewodzicowa dotąd jakiemiś smętnemi dręczona przeczuciami, porwana nawałnicą powszechnéj radości, zapomniała o smutkach, bawi się wesoło, miluchno poglada na nowego męża, może marzy o szczęściu straconém? Kiedy w pośrodku najhuczniejszéj zabawy rozległ się jęk przeraźliwy w bocznych komnatach. Wybiegają wszyscy, i zastają Drozdowskiego bez duszy. Stary sługa nie mogąc znieść hańby swojéj Pani, jak się do ostatniéj wyrażał chwili, umarł z ciężkiego żalu apoplexyą tknięty.

Smierć jego najokropniéj dotknęła Podwojewodzicową. Zbladła, zemdlała; po dotrzeźwieniu zapadła w ciężką niemoc.

5.

Zakończyły się gody, goście rozjechali do domów. W zamku znowu cicho, tylko smutniéj. Bo Pani, chociaż za staraniem biegłych lekarzy

odzyskała zdrowie, straciła po ostatnim wypadku całą swoję wesołość i żywość. Niegdyś róża płonąca w całym blasku swego przepychu, dziś schnący kwiatek na mogile wędrowca! Widać po wynędzniałéj i wyblakłéj twarzy ślady jakichś okropnych zgryzot duszy. Napróżno tysiące zabaw wymyśla dla niéj przywiązany małżonek, napróżno najweselsze umysły licznych przybyszów starają się przerywać okropne jéj marzenia. Dziś to wszystko martwém, nawet nieznośném dla ciężko zranionéj duszy niewiasty. Jedne pieszczoty z dziećmi, z któremi całe dnie przepędza, zdają się jeszcze uciszać jéj tajne cierpienia. Ale noc, to niezmierzone pole rozpamiętywań, to wszystko wraca w trojnasób. Budzi się z snów nieszczęsna, gorzko płacze i wzdycha.

Podwojewodzic do żywego tknięty tą niedolą żony, serce by swoje dla niéj wydarł z piersi, by ją tylko, choćby na chwilę uspokoić. Nadaremnie wszystko! ona go kocha, jak tylko może kochać serce przywiązanéj, poczciwéj kobiety, bo on swą łagodnością tak jéj przypomina Tomasza; ale w jego sercu nie ma już dla niéj balsamu pociechy.

Nikt nie wie, Podwojewodzicowa miała po zgonie Drozdowskiego sen okropny, w którym ukazał jéj się nieboszczyk i groźną prawicą wyrzucał złamanie wiary Staroście. Czegoż więcéj potrzeba do pognębienia zupełnego duszy tylu cierpieniami strzaskanéj! Ale poczciwa, przywiązana żona ukrywa powód tajnéj, trawiącéj ją zgryzoty przed mężem...

Tak w smutkach płynie dzień za dniem, tydzień za tygodniem, nadeszła wreszcie dziesiąta wiosna od pobicia Turków.

6.

Ocknęła się z snu grobowego zimy przyroda. Na rozjaśnione niebo wystąpiło jaskrawe, dogrzewające słonko. I już stopniałe śniegi w tysiącznych zdrojach z gór szemrzą i mruczą w doliny, a góry i doliny w zielone postroiły się wieńce, by powitać krasną córę poważnego roku, różnobarwą wiosnę. O jakżeż czarowną dziś znowu natura! Zuzala (*) zakukała w krzewach, drozd zagwizdał w bukach, w łąkach derkacz zaskrzypiał i huknął donośnie bąk długoszyi. Jaskółki w powietrzu świegocą, uganiając roje drobnych muszek, i z obfitym żerem dla małych wracają świerkając pod strzechy. I w ludziach jakaś tajemna, niepojęta odżyła radość, bo dziwny jest związek człowieka z przyrodą. Swobodne ich śpiewy zapełniają pola, lasy, doliny. W ziołach wesoła wrzawa: starce z wypogodzoną jagodą gwarzą sobie rozkosznie o dawnych czasach przed domami; a młodź pokrzykując ochoczo, zawija się koło zatrudnień, porze roku właściwych. Tylko w duszy Podwojewodzicowéj nic się nie zmieniło; smutek i boleść dogryza jak wprzódy. Wyszła jednak z dziećmi ponad krasne wybrzeża Strypy. Któżby dziś w téj wynędzniałéj twarzy, tém zapadłém oku, odgadł wyraz owego czarownego oblicza pięknéj Starościny?... Rzewnie przemawiają do duszy niewiasty te śpiewy ptaków, żegnających różanne słońce, co im za góry ucieka. Tysiąc wspomnień odżyło w jéj duszy, ale niestety! smutnych tylko. Cała jéj młodość przepłynęła w pośród tych cudów przyrodzenia, ale ona nie zakosztowała z kielicha ich słodyczy. Nękana troskami, ciągłą boleścią nie zaznała nawet. Ta myśl sięgała głębiéj, w najczarniejszą przeszłość, w owe dni okropnego rozstania się z Tomaszem, i rzewne łzy zrosiły wywiędłe jagody.

Wacławek, dziś już trzynaście lat liczący, towarzyszy wraz z małą swoją siostrzyczką matce, patrzy na łzy jéj, ale nie cieszy jak dawniéj. Czemu? Bogu to jedynie wiadomo. Uważano tylko, że chłopczyna od powtórnego matki zamęścia zsmutniał; starsi powiadają, zwyczajnie jak dziecko. Chłopczyk spojrzał ku drodze od lasu wiodącéj do zamku, i nagle przerwał milczenie.

— Matko, jakiś pielgrzym zmierza tu ku nam; zaczekajmy, niech się przybliży.

Stanęli, nadszedł starzec w długiéj, czarnéj szacie, przepasany białemi sznury. W prawicy trzymał długą laskę z rozlicznemi znaki, na lewéj zawieszon był kosz z relikwijami, szkaplerzami i rozmaitemi obrazki, a na posiwiałéj już głowie spoczywał szeroki kapelusz. Twarz wędrowca świętego w ziemię spuszczona; pochwalił z pokorą Pana Boga, a na wezwanie Podwojewodzicowéj: „święty ojcze! prosimy z sobą do zamku; strudzone członki wasze potrzebują wypoczynku; znajdziecie go u nas;“ jeszcze niżéj schylił czoło, i tylko głębokim podziękował ukłonem. Podwojewodzicowa wziąwszy za ręce małą Helenkę, idzie naprzód, za niemi sędziwy pielgrzym. Pani smętnie pogląda przed siebie, czasami zagaduje starca stłumionym głosem, dzieci się nań obracają z wyrazem podziwu. Ale on snać nie chce się spotykać z wzrokiem niewiniątek, bo źrenice głęboko wtopił w ziemię. Jednak gdy nikt go nie śledzi, widać, że dusza walczy z obliczem, któreby pragnęło larwą obojętności pokryć, co się wewnątrz niéj dzieje. Przemogła wreszcie wyższa cząstka człowieka, i na twarzy świętego wędrowca wypiętnował się dziwny wyraz boleści, pomieszania. Ciągle zwraca oko na swoję przewodniczkę i z skrytém westchnieniem spuszcza łzą zabiegłe. Któż wie, jakie krwawe z lat przeszłych wspomnienia przywołał ten widok rodzinnego szczęścia pamięci starca? Może i on był ojcem, mężem! Bogu tylko wiadomo.

Przybyli do zamku. Pielgrzym wszedł za Panią. Jakieś bolesne zadziwienie wymalowało się na jego twarzy. Czyby on miał znać ten

(*) Tak zowią na Podolu i Wołyniu kukułkę.

zamek dawniéj, że go tak uderzyły zmiany w nim zaszłe od lat kilku? Jakiś głos ozwał się w głębi komnat: „Zosinku, najdroższa żono!“ Wędrowiec zadrżał, pobladł; ale nikt tego nie dostrzegł.

(Dokończenie nastąpi.)

Mieszkania wiejskie w Górnym Szląsku.

Opisał krajowiec.

Przy granicy polskiéj mieszkania Górno-Szlązaków podobne są do mieszkań polskiego ludu; atoli daleko lepsze od tamtych. Chłopi nasi mają zwyczajnie płoty około ogrodów i podwórza, z tyczek jodłowych, sosnowych lub świerkowych; bardzo rzadko trafiają się parkany z desek lub z drzewa kładzionego w słupy garowane. W niektórych tylko wsiach w powiecie kluczborskim, n. p. w Ligocie polskiéj i niemieckiéj przy Kluczborku; w Sternalicach w powiecie oleskim mają dobre parkany z wrotami z tarcic, gdzie podwórza porządnie zamknąć mogą. Tak jest po części i w Kosęcinie i w Sodowiu w powiecie lublinieckim; w Chorzowie i w Piekarach niemieckich przy Bytomiu, gdzie téż dla braku drzewa parkany murowane stawiać zaczynają. W powiecie pszczyńskim, lubo tam drzewa niebraknie, mało o płoty dbają; na to miejsce, są tam lasy obszerne ogrodzone. W raciborskim powiecie jest wiele wsi, gdzie płoty z chróściny plecione utrzymują. Nad granicą polską mają chłopi wrota do podwórków na *obłąkach*, czyli wiciach dębowych; ale mało kiedy je zawierają: służą one tylko na to, aby im *gadzina* (świnie, gęsi i t. d.) niewychodziła. Po Ś. Michale aż do wiosny stoją wrota takowe wciąż otworem, bo w czasie tym idzie bydło na samopas i jak lud miejscowy utrzymuje, wolno wtedy bydłu iść na cudze grunta. Chodzą też wtenczas świnie całemi stadami i czynią w polach i ogrodach niezmierne szkody.

Dom wiejski ma zwyczajnie tylko jednę izbę mieszkalną. Tu stoi przy drzwiach ceber wielki do wody; bardzo rzadko stągiew. Przy nim szafa (*półka*) na misy i garnki. Dawniéj, póki przechód przez granicę wolny był, leżało na półce takowéj i na pokładce, aż do komina nadedrzwiami przyprawionéj, jakie kilkadziesiąt garnków zielonych częstochowskich, które zamożność i ozdobę domu znaczyły; teraz używają garnków żelaznych. Pod oknami stoi długa ława, przed nią stół, a przy nim mała ławka; nad ławą zawieszona jest listwa, za którą talerze i małe garnuszki ustawione bywają. Stołki tylko u rzemieślników się znachodzą, jako téż i szafy na wieszanie przyodziewku. W rogu izby stoi szerokie łoże, w którym gospodarz, żona i małe dzieci sypiają. Dla dzieci większych stoi w drugim rogu *wyrko* (cztery koły deskami zbite i barłogiem nakryte); doroślejsi śpią za piecem, lub gdzie się kto porzuci. Na ścianie wisi kilka obrazów na szkle malowanych, lub innych w ramy i za szkło oprawionych. U drzwi przy komorze stoją żarna, konwie, skrzynia i łada do sieczki. Otoż i całe bogactwo domowe. W komorze stoją beczki kapuścianne i jakie *burkloty* (to jest stare sprzęty). Na górze jest zboże w *solarkach* (solówkach); wchodzi się na górę po przystawionéj drabinie, bo wschody mało gdzie się zdarzają. Chlew jest zaraz przy sieni, do którego wieczorem nielękają się z zapalonemi szczepami wchodzić; latarni nigdzie niema, aniby też chłop, jak rok długi, świeczki nie kupił.

Przed oknami jest kilka grządek, na których chłop we wiośnie kapustę i kartofle sadzi; a to jest całém ogrodnictwem jego. Niektórzy tylko pielęgnują w ogródkach szałwią, lubszczyk, piwonią, miętę i boże drzewko. O drzewa owocowe włościanie nasi bardzo mało dbają, luboby z nich znaczny użytek mieć mogli. W stodołach, nie bardzo od domów odległych, młócą wieczorami lub nadedniem przy łuczywie. Osobnych pieców piekarnych nie mają, bo prócz świąt i wesół, mało kiedy też chléb pieką. Niektórzy tylko mają przy kominkach małe piecyki, które *szabatnikami* zowią. Suszarni na len także niemają; suszą go w dołach na polu, lub też w piecach domowych pokryjomu. Pszczół bardzo mało trzymają. Na podwórku przez noc nic zostawić nie mogą, boby im wszystko pokradzionem zostało; nawet koła z woza, pługi i brony znoszą na każdą noc do sieni.

Przy końcu pierwszego półrocza dziesiątego roku istnienia **Przyjaciela Ludu**, *upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na drugie półrocze roku tegoż w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów.*

Wszystkie królewskie Urzędy pocztowe przyjmują jak wprzódy zamówienia na Przyjaciela ludu. Jeżeli tenże z Cennika gazetowego wymazanym został, stało się to, jak się później okazało, jedynie przez zamianę z pismem równéj nazwy, które w Łyku wychodzić przestało.

Ernest Günther, *wydawca.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)